



LUCJAN ADAMCZUK

Szczecińska trauma 1970
Fragment książki Lucjana Adamczuka
Autobiografia człowieka wolnego
(Warszawa 2015, mps)

Nota redakcyjna Michał Paziewski

Lucjan Adamczuk urodził się 1 kwietnia 1938 roku w Marysinie koło Tyszowiec, skąd w sierpniu 1945 roku jego rodzina przeniosła się do Szymankowa, leżącego na terenie przedwojennego Wolnego Miasta Gdańsk, gdzie objęli „średniorolne” gospodarstwo. Wobec forsowania przez władze kolektywizacji zdecydowali się – celem uniknięcia oddania ziemi do Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej – powrócić w 1953 roku na Zamojszczyznę.

Wkrótce po dwuletniej służbie wojskowej w Wałczu, we wrześniu 1961 roku, zatrudnił się w Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego jako ślusarz. Po trzyletnim kursie został spawaczem kadłubowym, następnie eksternistycznie zdał maturę przed komisją Kuratorium Oświaty i Wychowania w Szczecinie, po czym w latach 1964–1968 zaocznie studiował socjologię w Wyższej Szkole Nauk Społecznych przy KC PZPR w Warszawie. Od listopada 1968 roku w Pracowni Psychologii i Socjologii Pracy jako socjolog zakładowy zajmował się szkoleniami w stoczni „Warskiego”. Usiłował zarazem wpłynąć na demokratyzowanie struktur PZPR poprzez krytyczne listy do władz partyjnych oraz odczytywanie ich na zebraniach partii.

W „czarny czwartek” 17 grudnia 1970 roku Adamczuk był świadkiem gwałtownych walk ulicznych szczecinian z milicją, pożaru gmachu Komitetu Wojewódzkiego PZPR, oblężenia

* Kontakt z autorem noty redakcyjnej: m.paziewski@gmail.com

i podpalania przez demonstrantów siedzib Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej oraz Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych. Sporządzone na gorąco notatki z pierwszego dnia rewolty robotniczej szczecińskiego Grudnia '70 spisał w marcu 1971 roku – z nich pochodzi publikowana część wspomnień. Zapiskami z epoki są także inne fragmenty *Autobiografii człowieka wolnego*.

Nazajutrz po wybuchu protestu okupacyjnego w stoczni Adamczuka wybrano do wydziałowej „trójki” strajkowej. Uczestniczył w redakcji postulatów protestujących. Przede wszystkim jednak do zakończenia 22 grudnia 1970 roku strajku generalnego w aglomeracji sprawował funkcję doradcy polityczno-organizacyjnego przy Ogólnomiejskim Komitecie Strajkowym. W czasie strajku powszechnego 22–25 stycznia 1971 roku był czołowym doradcą Komitetu Strajkowego w stoczni „Warskiego”, opracowywał postulaty, ponadto napisał list otwarty do I sekretarza KC PZPR, czym przyczynił się do zakończenia rewolty. Podczas bezprecedensowej w dziejach państw tak zwanych socjalistycznych debaty z Edwardem Gierkiem, Piotrem Jaroszewiczem, gen. Wojciechem Jaruzelskim i gen. Franciszkiem Szlachcicem na bieżąco doradzał przewodniczącemu Komitetu Strajkowego Edmundowi Bałuce, ustalał kolejność robotniczych wystąpień, jak też zabierał głos. Po przekształceniu Komitetu Strajkowego w Komisję Robotniczą przez trzy tygodnie zajmował się koordynacją prac tego czterdziestoosobowego grona, stanowiącego pierwowzór Wolnych Związków Zawodowych.

Wobec groźby zwolnienia z pracy wiosną 1971 roku przyjął propozycję zatrudnienia na etacie naukowo-dydaktycznym w WSNS. Nadal wspierał niepokornych stoczniowców, choćby współorganizując ich niezależny pochód 1 maja 1971 roku. Dlatego na polecenie Służby Bezpieczeństwa musiał podjąć pracę w Głównym Urzędzie Statystycznym. Niezależnie od inwigilacji SB pomagał m.in. reżyserowi Leslie'emu Woodheadowi i scenarzyście Bolesławowi Sulikowi w realizacji filmu *Trzy dni w Szczecinie*, paradokumentu z 1976 roku. Przed Sierpniem '80 należał do nielicznych badaczy zajmujących się problematyką Grudnia '70. Jego *Rewolta szczecińska. Analiza socjologiczno-historyczna*, wyłożona na VI Zjeździe Socjologicznym w 1981 roku, najpierw ukazała się po francusku („Economie et Humanisme” 1984, nr 7–8), a po polsku dopiero w 1989 roku w II tomie *Studiów nad ruchami społecznymi*.

Po Sierpniu '80 współorganizował NSZZ „Solidarność” w GUS, a w 1981 roku wybrano go sekretarzem generalnym Polskiego Towarzystwa Statystycznego. Po narzuceniu stanu wojennego został relegowany z GUS na wniosek komisarza wojskowego. Na bezrobociu obrobił doktorat *Budżet czasu ludności wiejskiej w Polsce* w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN, następnie dwa lata pracował w Spółdzielczym Instytucie Badawczym. W latach 1984–1990 był kierownikiem Zakładu Socjologii Kultury w stołecznym Instytucie Kultury, a do 2006 roku sekretarzem zarządu w Sekcji Socjologii Religii przy Polskim Towarzystwie Socjologicznym. W 1990 roku wrócił do GUS, gdzie m.in. zainicjował współpracę z Instytutem

Statystyki Kościoła Katolickiego przy Sekretariacie Episkopatu Polski. Pierwszym jej efektem była współautorska publikacja *Kościół Katolicki w Polsce 1918–1990*. Od 1991 roku na Akademii Teologii Katolickiej prowadził zajęcia m.in. z metodologii badań socjologicznych i statystyki socjologicznej, a w latach 1999–2004 jako adiunkt także seminarium magisterskie w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego. W pracach nad *Postawami społeczno-religijnymi Polaków 1991–2012* (2013) i rocznikiem „Kościół Katolicki w Polsce 1991–2011” (2014) brał udział już po 2008 roku, kiedy przeszedł na emeryturę.

* * *

Tymczasem potok ludzki zatrzymał się, bramę zamknęto. Około dwóch tysięcy ludzi wyszło jednak i energicznym krokiem przez całą szerokość jezdni pomaszeroowało w kierunku ulicy Parkowej. Za zamkniętą bramą stało kilka setek robotników z różnych wydziałów. W pracowni¹ wszyscy zgromadziliśmy się w pomieszczeniach po zachodniej stronie budynku, skąd widać było miasto i maszerujący pochód stoczniowców, który szybko zniknął za blokami przy ulicy Dubois. Tramwaje zatrzymały się, a następnie powoli zaczęły zjeżdżać do zajezdni. Ruch kołowy był normalny. Wracam do gabinetu Haliny², skąd widać bramę główną.

Słyszę, że odzywają się głośniki na terenie zakładu. Przeciągając sylaby, jak w rozpaczliwym wołaniu, mówił Tadeusz Cenkiem:

– Stoczniovcy! – mówi do was dyrektor stoczni. Wzywam was do powrotu do pracy. Niech każdy idzie na swoje stanowisko pracy. Nie dajcie się prowokować awanturnikom i nierobom!

Rozlegają się gwizdy przy bramach. Ludzie wchodzą na dach wartowni przy bramie, ktoś usiłuje z dachu przemawiać. Przed bramą coraz więcej niebieskich kasków mistrzowskich, usiłują nakłonić ludzi do powrotu do pracy – bez rezultatu.

Przez otwarte okno na bramę główną słyszę cichnące coraz bardziej odgłosy pracy stoczni. Wieloletnie doświadczenie pozwoliło mi po charakterystycznych odgłosach bezbłędnie ocenić, jakie wydziały pracują – po szumie urządzeń, ruchu dźwigów. Około godziny 11 nad stocznia zapanowała martwa cisza, nie słyhać żadnych odgłosów pracy, milczą młoty kowali, nie słyhać szumu pracy spawarek i palników, stoją nieruchomo dźwigi. Znów odzywa się przez głośniki dyrektor Cenkiem:

– Stoczniovcy. Jako dyrektor wzywam was po raz drugi do powrotu do pracy! Nie pozwólcie zniszczyć całego naszego dorobku, który ludzie niepoważni i nieodpowiedzialni narażają

¹ Pracownia Psychologii i Socjologii Pracy.

² Halina Obrębska, kierowniczka PPiSP.

na niebezpieczeństwo. Stracie poza tym możliwość otrzymania premii eksportowej, gdyż nie wykonamy planu, zagrożona będzie „trzynastka”.

Mówił jeszcze dalej w tym stylu. Ale nie słuchano go. Znow rozległy się gwizdy. Zaczęto skandować: kłamstwo, kłamstwo, kłamstwo...!

Odezwał się też wreszcie sekretarz KZ-tu Muszyński³. Początkowo uciszyło się, ale kiedy zaczął nakłaniać do powrotu do pracy, znow rozległy się gwizdy. Raz jeszcze włączył się dyrektor, tym razem już groził. Hysterycznym dyszkantem wołał:

– Po raz ostatni wzywam was do powrotu do pracy! Pamiętajcie o Węgrzech w 56 roku! O Poznaniu – wiecie, co się działo w Gdańsku – tu może być to samo!!

Robotnicy przed bramą zareagowali natychmiast: rozległ się zbiorowy krzyk, podniosły się pięści. Brama znow się otworzyła, na plac przed budynkiem dyrekcji zaczęło napływać coraz więcej robotników. Ale na razie nikt nie ruszał na miasto, rosnące zgromadzenie trwało w miejscu, szumiąc groźnie przed budynkiem dyrekcji, jakby gotując się do wsparcia tych, którzy już poszli do miasta.

Było już po godzinie 11, gdy od strony ulicy Parkowej zaczęły dochodzić odgłosy wystrzałów. Tam poszła pierwsza fala ludzi. Podchodząc znowu do zachodniego okna i widząc jak zza bloków stojących przy Dubois wyłoniła się grupa ludzi – około pięciuset robotników szybko zmierza w kierunku bramy głównej. Tu połączyli się z niespokojnym zgromadzeniem, stojącym przed bramą. Po chwili w stronę skrzyżowania ulic Emilii Plater i Dubois zaczęły zmierzać coraz większe grupy robotników.

Jednocześnie od strony Wałów Chrobrego na puste przedpole stoczniowego boiska „Arkonii” przy ulicy Łyskowskiego zaczął napływać potok ludzi. To wracali ci, którzy poszli w kierunku miasta przez nabrzeże Kapitańskie, wzdłuż Wałów Chrobrego, na których znajdowało się Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej. Na krzyżówce ulic Dubois i Łady pojawił się jednak pluton MO w stalowych kaskach i sinych kurtkach. Ustawili się w poprzek jezdni i w stronę spokojnie spływającego w stronę stoczni strumienia robotników poleciały petardy i świece z gazem łzawiącym.

Rozpoczęła się istna kanonada wybuchów. Całe przedpole zasnutę było błękitnawym dymem gazu łzawiącego. Ludzie, zamiast wracać do bramy zakładu, zatrzymali się. Widać było, jak się schylają, zbierają kamienie. Po chwili kilku, potem całe gromady rozproszonych na przedpolu stadionu robotników zaczęły z krzykiem biec w kierunku milicjantów. Posypały się kamienie. Świece z gazem zaczęto odrzucać w stronę milicji. Może po kwadransie takich utarczek milicjanci nie wytrzymali gradu kamieni i bezładnie zaczęli wycofywać się w głąb ulicy Dubois.

³ Eugeniusz Muszyński, I sekretarz Komitetu Zakładowego PZPR w Stoczni Szczecińskiej im. A. Warskiego.

Jeszcze kilkakrotnie milicja zwieriała szeregi i za każdym razem rozrywał je grad kamieni i szarża robotników zmuszała ich do ucieczki, coraz dalej w głąb ulicy, aż do krzyżówki z ulicą Parkową. Kanonada wybuchów trwała bez przerwy. Dymy i opary gazu łzawiącego dotarły już do naszego budynku, gryzły w oczy, trzeba było zamknąć okna, z których obserwowaliśmy to, co się działo.

W pewnym momencie za wysokimi blokami Dubois rozległ się wybuch i w górę strzelił czarny kłęb dymu. Po chwili gdzieś jeszcze dalej – w głębi ulicy Parkowej – drugi słup dymu. Okazało się potem, że podpalamo tam wozy milicyjne z zainstalowanymi na nich wyrzutniami pocisków z gazem łzawiącym.

Obserwując to, co działo się przy Dubois i Parkowej, straciłem z pola widzenia bramę główną stoczni. Tymczasem o godzinie 12.30 zupełnie niespodziewanie z bramy głównej wyszedł nowy potok ludzki i energicznie ruszył w stronę miasta. Na czele niesiono transparent, sporządzony z kawałka dykty, na którym białą kredą wypisane było hasło „Popieramy robotników Gdańska”. To wyszli robotnicy ze Stoczni Remontowej „Gryfia”, znajdującej się na odrzańskiej wyspie, naprzeciw naszej stoczni; przyłączyli się do naszego nabrzeża swoim promem. Spływający od strony Dubois do stoczni potok stoczniowców natychmiast przyłączył się do tej nowej fali. Nasza załoga idzie również. Tym razem kilka tysięcy robotników zdecydowanie rusza w kierunku miasta. Tego pochodu nic już nie zatrzyma.

Stocznia wyludnia się. Fala wyszła. Przez szeroko otwartą bramę ludzie chodzą w obie strony. Ale coraz większy strumień ludzki kieruje się do miasta. Większość jest już przebrana w domowe ubrania. Wszyscy idą na piechotę trasą, którą poszedł pochód robotników z „Remontówki”⁴.

Milicja została wyparta z okolic stoczni. Ludzie powoli spływali grupami, po kilkadziesiąt osób, pojedynczo – w kierunku krzyżówki Emilii Plater z Hutniczą. Było tam kilka sklepów. Z naszych okien widziałem okna sklepu mięsnego. Był otwarty, ludzie normalnie robili zakupy. W pewnym momencie na krzyżówce utworzył się korek, zebrał się tłum. Samochody powoli przepychały się przez zwartą masę ludzką i w końcu rozjechały się. Ludzie jednak się nie rozchodzili. Po kilkunastu minutach – była 13.30 – z Emilii Plater rozległ się ryk silników – to pod górę ulicy toczyły się „skoty” – zielone, płaskie łby wozów pancernych powoli przepychały się przez tłum, który teraz szybko zwarł się. Wozy ugrzęzły. Ludzie wdrapywali się na maszyny. Z wozów wyglądały przestraszone załogi. Kiedy przekonano się, że to nasi, polscy żołnierze, przepuszczono sześć wozów, które spokojnie pojechały w Parkową.

Tłum zaczął się powoli rozpraszać. Ludzie szli do stoczni, aby się przebrać, dzień pracy miał się ku końcowi. Stoimy jeszcze przy oknach i obserwujemy, co się dzieje. Jest zimno.

⁴ Szczecińska Stocznia Remontowa „Gryfia”, powszechnie nazywana „Remontówką”.

W oczy gryzie gaz. Kobiety są roztrzęsione. Teresa⁵ ma łzy w oczach i jest bliska wybuchu płaczu, głos jej drży, gdy mówi: – No teraz się zacznijcie. Wszystko przepadło. Ja przeżyłam rok 56 w Poznaniu.

Około godziny 14.30 w głębi miasta, za parkiem Żeromskiego, widać dymy. Znowu coś płonie. Kanonada wybuchów nie milknie, ale jest daleka, gdzieś w okolicach placu Żołnierza⁶. Domyśliłyśmy się, że dymy mogą pochodzić z gmachu Komitetu Wojewódzkiego PZPR.

O godzinie 15 wychodzimy z pracowni. Kobiety wyszły kilka minut wcześniej, mieszkają daleko, na Pomorzanach. Ciężko będzie pieszo tam dotrzeć. Wychodzę parę minut po 15 i idę w kierunku miasta trasą, którą poszli robotnicy. Idę specjalnie przez krzyżówkę Emilii Plater z Hutniczą, aby zobaczyć, co się stało ze sklepami – a szczególnie mięsny. Ulice zarzucone są kamieniami, odłamkami cegieł, które służyły do walki z milicją. Sklepy są całe. Zamknięte wprawdzie, ale nieuszkodzone. W witrynie sklepu mięsnego jest wybita dziura wielkości głowy, ale już ją zaklejono papierem.

Rozproszony potok ludzki nieustannie wypływa ze stoczni i zdąża, tak jak i ja, w kierunku miasta. Przechodzę przez główny teren walk ulicą Dubois. Na jezdni, chodnikach i poboczach pełno tekturowych rurek z chloropikryną – gazem łzawiącym, wypalonych petard, kamieni. Dymu już nie ma, ale gaz ulatnia się, w dalszym ciągu gryząc niesamowicie w oczy. Ludzie trzymają chusteczki przy oczach i nosach, niektórzy zmoczone w wodzie.

Gdzieś w połowie Dubois mam tego zapachu dosyć i dostaję krwotoku z nosa. Wchodzę do bramy, aby się oczyścić i zatamować krew. Ale tu stężenie gazu jest jeszcze większe. Uciekam dalej z nosem pełnym krwi. Mijam dopalający się, przewrócony wóz operacyjny MO. W głębi ulicy dopala się, kopcąc niesamowicie, tak zwana buda milicyjna.

Na Parkowej skończyła się w zasadzie potyczka – stąd milicja odeszła, a stoczniowcy wrócili do zakładu. Dalej zaczyna się park Żeromskiego. Tu jest trochę czystsze powietrze. Można swobodnie oddychać. Doprowadzam się do porządku i ruszam w stronę placu Żołnierza, skąd dochodzą rzadkie odgłosy strażów i wybuchy petard.

Zapadał zmierzch. Dochodząc do kawiarni „Plantowa”, znowu natknąłem się na falę gazu łzawiącego. Snuł się przy ziemi niebieskawą mgiełką. Przez nagie konary drzew widziałem już okolice Komitetu Wojewódzkiego. Unosił się stamtąd rzadki dym i tańczyły wysoko nad dachami strzępy spalonych papierów.

⁵ Teresa Makowska, socjolożka z Pracowni Psychologii i Socjologii Pracy.

⁶ Potoczna, skrótowa nazwa placu Żołnierza Polskiego.

Przyśpieszyłem kroku, by wyjść ze strefy gazu. Zbliżałem się do Komendy Wojewódzkiej MO przy Małopolskiej. Na jej tyłach, na ulicach Zygmunta Starego i Bankowej⁷, stały wozy milicyjne oraz skoty z wojskiem. Milicjanci stali grupkami, milcząc i nie patrząc na nikogo.

Podchodząc do skrzyżowania Matejki z Małopolską, zobaczyłem ulicę pełną ludzi, tu już był zwarty tłum. Naprzeciw budynku Prasy stało po prawej stronie ulicy kilkanaście „skotów”. Z wozów wychodzili akurat żołnierze, młodzi chłopcy. Kazano im się uformować i iść w zwartym szyku w stronę KW MO, skąd dochodziły odgłosy szturmowania bram i okien. Żołnierze usiłowali wykonać rozkazy zdenerwowanych oficerów, ale brani pod rękę przez młodych i starszych ludzi stojących dookoła, ginęli zupełnie w tłumie. Słysząc było głosy rozmów:

– Ty, stary, tam stoi twój ojciec, co pójdziesz do niego strzelać?

Albo wprost: – Cześć Józek – chłopcy patrzcie to nasz Józek z „budy” – idzie do nas strzelać!

Gromada młodych ludzi otaczała zaaferowanego szeregowca, który nie wiedząc, co ma robić z karabinem maszynowym, w geście rozpaczony trzymał go za lufę i włókł kolbą po ziemi.

– Lud z wojskiem, wojsko z ludem. Żołnierzyku, idź do wozu i siedź tam spokojnie, widzisz przecież, że nikomu krzywdy nie robimy.

– Chodź, pomogę ci przejść. – Stary wąsаты jegomość brał pod rękę kaprała, pomagając mu się przecisnąć przez tłum w kierunku jego wozu.

Z miejsca, gdzie stałem, widać już było płonący gmach sali obrad KW. Płomienie lizały stalową konstrukcję szklanego dachu, która gięła się i zapadała w głąb budynku ze szklanym hukiem. Ruszyłem w stronę placu Żołnierza, przy którym stał Komitet Wojewódzki PZPR. Plac był pełen ludzi. Na tle ciemnego już nieba płonący gmach robił przytłaczające wrażenie.

Już od dwóch godzin widziałem, że KW się pali, ale jakoś nie docierało to do mojej świadomości. Wydawało mi się mimo wszystko, że to nieprawda. Żeby w socjalistycznym kraju paliła się siedziba najważniejszej instytucji, podpalona rękami tych, którym miała przecież służyć. To nie chciało się mieścić w głowie. Byłem jak niewierny Tomasz. Szedłem ze swoim zakrwawionym nosem, aby na własne oczy przekonać się, że to prawda. To, co działo się przed moimi oczami, było niewiarygodne – ale to była prawda.

Nie odczuwałem jednak z tego powodu specjalnego zmartwienia, raczej niepokój, co będzie dalej. Co będzie dziś w nocy, jutro, jak to wszystko się zakończy? Co się jeszcze stanie za godzinę?

Lawirując między ruchliwą falą ludzką, zbliżałem się w stronę wejścia do gmachu. Płonęły już prawie wszystkie okna na parterze. Ale na trzecim i czwartym piętrze nie było ognia. Wylatywały stamtąd krzesła, szafy pełne dokumentów, fotele, kanapy, stoliki i wszelki inny sprzęt i wyposażenie.

⁷ Wcześniejsza, powszechnie używana nazwa ul. Płk. Teofila Starzyńskiego.

Mimowolnie poszukałem oczami okien gabinetu Ostrzyżka⁸, w którym byłem kilka godzin wcześniej. Płonęły jak inne. Przypuszczałem, że i moje niebezpieczne wnioski spłoną razem z tymi papierami.

Co też się teraz dzieje z tym butnym, pewnym siebie człowiekiem, który jeszcze kilka godzin temu siedział za tymi oknami i traktował mnie jak groźnego wroga ludu? – pomyślałem w duchu, nie bez pewnej satysfakcji. Nie czas jednak na refleksje, zbyt wiele ważnych zdarzeń było dookoła, chciałem jak najwięcej zobaczyć.

Na ulicy, pod oknami budynku, płonęły stosy partyjnych dokumentów; szafy i wszystko, co w nich było, wylatywało przez okna. Nikt niczego nie usiłował brać. Wejście do gmachu było otwarte, wchodzili tam i wychodzili ludzie, kręcili się żołnierze.

Wzdłuż ulicy stało kilkanaście „skotów”, jeden za drugim. Żołnierze siedzieli w otwartych włazach wraz z cywilami, przyglądając się temu, co się dzieje. Na wozach pancernych, które były zamknięte i wyglądały na puste, stały grupy młodzieży i wyrostków. Na kilku z nich zatknięte były zrobione z kawałków dykty lub sklejki transparenty, na których farbą lub kredą wypisano hasła:

Szczecin zawsze Polski⁹.

Popieramy klasę robotniczą Gdańska.

Precz z Gomułą.

Żądamy starych cen. I tym podobne.

Większość wozów miała na burtach wypisane kredą hasła: „Wojsko z ludem – lud z wojskiem” lub „Nie strzelajcie do ojców i braci”.

Dziwny nastrój panował w tym zbiorowisku ludzkim. Wojsko i cywile – przypalając papierosy i opierając się o lufy karabinów maszynowych – spokojnie, jak w teatrze, przyglądali się płonącemu Komitetowi Wojewódzkiemu partii, wymieniali uwagi, co i ile wyrzucono z wnętrza gmachu.

Na szerokim, wyasfaltowanym trotuarze naprzeciw gmachu KW pełno było ludzi, aż pod ściany Klubu XIII Muz i muzeum, gdzie się na chwilę zatrzymałem. Ludzie, mijając się spokojnie, zmierzali dwoma potokami w przeciwne strony, jedni w stronę Komendy Wojewódzkiej MO, drudzy w stronę placu Lotników i Śródmieścia. Inni stali grupkami, rozprawiając o tym, co widzieli i słyszeli. Często słychać było zdania:

– No, doиграли się wreszcie. Skończyło się dygnitarstwo i wszechmoc.

– Wreszcie ludzie mają coś do powiedzenia.

Ktoś tłumaczy, jak pracownicy Komendy Wojewódzkiej opuszczali gmach:

⁸ Jerzy Ostrzyżek, sekretarz ds. organizacyjnych KW PZPR w Szczecinie.

⁹ Pisownia oryginalna.

– Widziałem, jak szli dachem w kierunku budynku Prasy.

– Skakali z okien. Ale im dali „bobu”.

Jest już prawie ciemno. Palą się lampy. Idę w kierunku placu Lotników. Interesują mnie w dalszym ciągu sklepy, z niepokojem patrzę na witryny sklepów sąsiadujących z KW – są całe. Obok palącego się okna KW znajduje się okno wystawowe sklepu „Polski Len”, jest nie-
tknięte; wewnątrz są ekspedientki i wyglądają zza firanek na plac.

Boję się trochę, że długo taki porządek się nie utrzyma, na razie jednak stwierdzam z ulgą, że młokosów jest niewiele i ton nadają dorośli; ale co będzie, jak robotnicy pójdą do domów? Cieszy mnie, że nie stłuczono ani jednej szyby sklepu.

Na skrzyżowaniu alei Wyzwolenia spotykam Gienka¹⁰. W tym samym momencie z głębi ulicy zaczynają nadjeżdżać „skoty”, usiłując dostać się przed gmach KW. Ludzie reagują natychmiast, zastępują drogę, zaczynają wypierać wozy z powrotem w głąb ulicy. Na okrzyki oficera nie reagują, zbywają je śmiechem. Wozy powoli wycofują się, ale po chwili wjeżdżają na plac od innej strony, gdzie jest mniej ludzi, tym razem nikt im nie przeszkadza.

Idziemy z Gienkiem na dworzec, aby sprawdzić, czy jest cały i czy pociągi kursują normalnie. Już kilkadziesiąt metrów za placem Żołnierza ulica jest prawie pusta. Spokojnie dochodzimy do dworca. Okazuje się, że pociągi kursują normalnie. Gienek kupuje bilet i postanawia iść do domu i przygotować się do wyjazdu. Ja zawracam w stronę KW.

Dochodząc do placu Żołnierza, zauważam, że zrobiło się tu przestronniej. Ludzie kierują się na duży plac przed Komendą Wojewódzką MO na Małopolskiej. Dochodzą stamtąd w dalszym ciągu odgłosy szturmowania do drzwi i okien – głucho uderzenia, brzęk tłukących się szyb, detonacje granatów z gazem łzawiącym.

Wychodzę na plac, który cały zapchany jest nieruchomym tłumem ludzkim. W budynku z prawej strony komendy płonie dolne piętro i parter kasyna milicyjnego. Strażacy są już w akcji, wody jednak nie używają, prawdopodobnie mają poprzecinane węże.

Obchodzę zwarty tłum od strony kościoła Piotra i Pawła i staram się z bliska zobaczyć, co dzieje się przed samą komendą. Wszystkie okna są ciemne. W kilku na parterze i na pierwszym piętrze tli się płomień. Z wnętrza budynku od czasu do czasu rzucane są zapalone świece dymne – wpadają między ludzi na dole, ale prawie natychmiast są odrzucane celnie z powrotem w okna.

Na ulicy pod samą bramą wejściową tli się jeszcze wrak „gazika”, a obok niego jasnym płomieniem pali się „skot”. W narożniku budynku obok bramy stoi w maskach przeciwgazowych na twarzach pluton żołnierzy. Wyglądają niesamowicie w tych maskach, które przypominają trąby słoni. Nad ich głowami lecą w kierunku okien kamienie, butelki z benzyną, świece dymne,

¹⁰ Eugeniusz Truś, stolarz z wydziału W-1 (Wydział Stolarski Okrętowej), kuzyn Lucjana Adamczuka.

petardy. Stoją dziwnie spokojnie w chybottliwym odbłasku płomieni; nie reagują zupełnie na to, co się wokół nich dzieje, jakby ich to nie dotyczyło.

Wielkie zbiorowisko ludzi przed gmachem komendy też nie bierze udziału w szturmie. Robi to jednak z zapalem kilkudziesięciu młodych ludzi, którzy usiłują podpalić gmach – przygotowują butelki z benzyną, rzucają kamienie, jakimś długim drągiem usiłują wybić wrota dębowej bramy, która jest już mocno nadpalona. W pewnym momencie przynoszą z pobliskiego placu zabaw dziecięcych starą drewnianą łódź, którą usiłują użyć jako taran do wybicia bramy, ale bez skutku.

Gmach milczy. Butelki z benzyną wrzucane do środka są natychmiast gaszone. Z kilku okien syczy się dym, ale po chwili znika.

Idę w dół ulicy Małopolskiej, w stronę Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych. Ten gmach też podpalono. Parter i kilka pokoi na piętrze pali się. Zajeżdżają wozy strażackie. Wzdłuż ulicy stoi kilkanaście wozów pancernych, silniki pracują. W momencie, kiedy je mijam, zaczynają ruszać w kierunku placu przed KW MO.

Zawracam również. Słyszę trzask serii z pistoletu maszynowego. Rozpoczyna się bezładna strzelanina na placu przed KW MO. Widzę, że z łuf karabinów maszynowych na „skotach” zdjęto pokrowce. Słyszę, że się odzywają – ich ciężkie, dudniące uderzenia zagłuszają na chwilę trzask pistoletów maszynowych piechoty.

Przyśpieszam kroku, chcąc zobaczyć, co się stało. Na placu nic się nie zmieniło, ale ulica, z której wychodzę, jest teraz zamknięta kordonem pancernych wozów, ustawionych w poprzek jezdni, jeden obok drugiego. Na kilku z nich siedzą cywile, między wozami kręci się też sporo ludzi.

Okazało się, że strzelano z tych właśnie pierwszych wozów, oczywiście w powietrze. Na nikim jednak nie robiło to wrażenia. Ludzie przyglądali się spokojnie lufom strzelających karabinów. Pytam stojącego na ogrodzeniu starszego człowieka o przyczynę strzelaniny.

– Panie, milicjant zaczął. Strzelił wprost do dwóch ludzi, gdy podeszli do bocznej bramy pilnowanej przez wartownika. Na moich oczach ich rozwalił.

Z daleka dostrzegam, że nie zaniechano szturmowania bramy i okien komendy. Postanawiam sprawdzić, co dzieje się przed Wojewódzką Radą Narodową. Idę w dół Małopolską i skręcam na Wały Chrobrego. W dole migocą kolorowe światła portu, odbijając się w lustrze Odry. Zatrzymuję się na chwilę, aby sprawdzić po ruchu dźwigów, czy port pracuje. Stoję kilkanaście minut, ale żadnego ruchu dostrzec nie mogę. Port stoi.

Przed WRN pusto i spokojnie – ani przechodniów, ani MO, ani też wojska, pustka. Przez Zygmunta Starego wracam na plac Żołnierza. Jest już godzina 18. Na Wyzwolenia spotykam Zdzicha¹¹, kolegę z mojej brygady spawaczy, rozmawiamy chwilę i rozchodzimy się.

Przechodząc obok wystaw sklepowych, spostrzegam z daleka zbiegowisko przy sklepie mięsnym. Po chwili słyszę brzęk tłuczonego szkła i okrzyki. Widzę, że jakiś starszy jegomość szarpie się z kilkoma wyrostkami, po chwili uspokaja się. Przy rozbitym oknie wystawowym siada na parapecie gromada chłopaków, starszy pan w środku – pilnują rozbitej witryny. Do sklepu nikt nie wejdzie – przynajmniej na razie.

Obok „Galluxu” mijam trzech młodzieńców w dżinsach, dwudziestoparoletnich, widzę, jak jeden z nich schyla się, podnosi kamień i nie zatrzymując się, zza pleców rzuca nim w okno wystawowe; szyba pęka, ale nie wypada – tamci też się nie zatrzymują.

Postanawiam zobaczyć, co dzieje się dalej od centrum miasta. Czasami dochodzą stamtąd odgłosy wystrzałów. Niepokoi mnie, co się dzieje w okolicy, gdzie pracuje Teresa¹². Ruszam przez Bramę Portową w stronę Wojska Polskiego. Przez plac Zwycięstwa dochodzę do Klubu MPiK. Pracują tu same kobiety; widzę, że szyby są całe, zaglądam do środka, ludzie niewiele, ale Teresy nie widzę, nieco uspokojony ruszam dalej. W głębi ulicy Krzywoustego pali się przewrócony na bok furgon jakiegoś przedsiębiorstwa. Ludzie omijają go z daleka, może wybuchnąć.

Zawracam w kierunku ulicy Kaszubskiej – chcę zobaczyć, co dzieje się przed więzieniem. Obok prokuratury stoi czołg, ale jest pusto. Przy narożniku budynku zjawia się uzbrojony żołnierz i nakazuje mi iść środkiem jezdni. Pytam go, czy dalej ulica jest wolna?

– Nie wiem, ale proszę nie zbliżać się do ścian budynków.

Zawracam. Dalej jest już więzienie, a okoliczne ulice są zupełnie puste. Gdzieś od strony Narutowicza słychać wystrzały. Jednocześnie od ulicy Kopernika dochodzi narastający charakterystyczny klekot gąsienic i pomruk silników; do miasta wjeżdżały kolumny czołgów. Idę szybko w stronę Komitetu Wojewódzkiego. W słabym świetle latarni mijam pomnik Kornela Ujejskiego; nie czas na refleksje nad lokalizacją pomników w tym mieście, ale strofy ze szkolnej lektury: „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej...” drażną podświadomość, wbijają się w nią jak cierni.

W alei Niepodległości, przed Bankiem PKO kilku młodych ludzi zatrzymuje taksówki, żądają benzyny. Kierowcy uciekają, ale niektórzy nie mogą i dają benzynę. Coś znowu pójdzie „z dymem pożarów...”. Patetyczny tragizm polskiego losu zyskuje oto nowy wymiar – tragifarsy?

¹¹ Zdzisław Świerczyński, spawacz w wydziale K-3 (Wydział Pochylni „Odra”).

¹² Teresa Nowosławska, dyrektorka Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki, zlokalizowanego u zbiegu al. Wojska Polskiego i ul. Bolesława Krzywoustego.

Na ulicy coraz więcej grup młodych ludzi, coraz mniej starszych. Zbliża się moment, którego najbardziej się obawiałem, przejęcie inicjatywy przez wyrostków i margines społeczny portowego miasta. Milicji nigdzie nie widać. Nadzieja w wojsku.

Dochodząc do placu Lotników, słyszę i widzę, że z alei Wyzwolenia wjeżdżają w Małopolską czołgi. Najpierw dwa, potem cała kolumna przejeżdża przez plac w stronę Bramy Portowej. W otwartych włazach stoją czołgiści. Po chwili od strony Komendy Wojewódzkiej MO słychać kilka ciężkich wystrzałów dział czołgowych, drżą szyby w sąsiednich domach. Rozpoczyna się dzika, bezładna strzelanina. Nad dachami domów lecą w różne strony ogniki świetlnych pocisków. Słychać charakterystyczny gwizdzący warkot rykoszetów ostrych pocisków.

Ogarnia mnie uczucie grozy. Nie byłem nigdy na wojnie, ale znam ten odgłos z nocnych ostrych strzelań na poligonach wojskowych Wału Pomorskiego, gdzie stacjonowałem dwa lata w 49 ppz. Teraz miałem wrażenie, jakbym był wewnątrz jakiegoś tragicznego, koszmarnego frontu, w którym nie ma linii dzielącej wrogów, w którym w ogóle nie wiadomo, kto jest wrogiem: czy ci przestraszeni chłopcy w czołgach, czy ci spokojni cywile przed czołgami, czy ci, co wybijają szyby w sklepach, czy ci młodzi zabierający taksówkarzom benzynę, czy też ci, co podpalają gmachy KW i MO, ponure symbole przemocy i zniewolenia, a może ci, co bronią się w tych budynkach?

Nad miastem pojawia się samolot z kolorowymi światłami lampek pozycyjnych. Krąży uparcie nad Śródmieściem. Strzały na chwilę cichną. Idę dalej w stronę sklepu PKO na placu Lotników. Widzę, że zaczynają tam zmierzać coraz liczniejsze grupy młodych, stają przed witrynami. Po chwili słychać brzęk wybitej szyby. Tłum wpada do środka, zaczyna się grabież. Po kilku minutach od strony alei Jedności Narodowej wychodzi pluton MO. Rzucają petardy i świece z gazem. Strzelają (chyba z raketnic) – tłum rabusiów ucieka.

Milicja jednak długo nie wytrzymuje, napierana ze wszystkich stron przez tłum rozkrzyczanych młokosów, wycofuje się w głąb ulicy, rzucając gęsto granaty z gazem. Po chwili tłum wraca. Znowu słychać odgłos tłuczonych szyb w sklepie spirytusowym obok PKO. Jakaś kobiecina w średnim wieku dźwiga całą torbę wina. Wstyd mi za nią, mam ochotę potłuc jej te butelki, ale znów pojawia się milicja, kobieta ucieka do bramy.

Idę jeszcze raz w stronę komendy MO, ulica Małopolska zapchana jest wozami pancernymi, ale plac przed komendą jest pusty, otoczony wojskiem. Widocznie czołgi weszły w tłum i wyparły ludzi z placu.

Postanawiam iść do domu. Jest już po 19. Wracam na aleję Wyzwolenia. W kilku sklepach są już wybite szyby, rabunków jeszcze nie widać. Z placu Lotników wyjeżdża kilka wozów milicyjnych. Natychmiast sypie się na nie grad kamieni. Wozy, klucząc, z powybijanymi szybami umykają w boczne ulice.

Tu już panuje anarchia, sama młodzież i różne podejrzane indywidua. W momencie, gdy postanawiam raz jeszcze rzucić okiem na KW PZPR, żeby ocenić skutki pożaru, z placu Żołnierza zaczyna wychodzić wojsko. Oficerowie ustawiają żołnierzy w poprzek szerokiej ulicy, tworząc podwójny kordon. Żołnierze są bez broni; trzymają się pod ręce i idą całą szerokością ulicy – od ściany do ściany. Gawiedź, nie mając się gdzie podziać, wycofuje się z głównych ulic Śródmieścia.

Widząc, że wreszcie wojsko włączyło się do akcji, uspokajam się trochę: rozbój się skończy, przynajmniej w Śródmieściu. Za kordonem żołnierzy jadą wolno „skoty”. Żołnierze pokrzykują na maruderów, którzy usiłują się schować do bram.

– Co, złodziejstwa ci się zachciało!

– Jazda spać, do domu – nic tu już po was!

Ktoś woła, że musi iść tędy do pracy. Młody porucznik zatrzymuje całą kolumnę i każe przepuścić idącego do pracy. Kolumna kieruje się w stronę dzielnicy, w której mieszkam, przyłączam się więc do żołnierzy. Idziemy dalej w kierunku ulicy Mariana Buczka. Przed nami coraz mniej wyrostków, ale nagle zaczynają tłuc szyby wystawowe sklepów, obok których przechodzą. Tuż przede mną jakiś piętnastoletni łobuz chwyta śmietniczkę, ciężką, metalową, i ciska nią o szybę sklepu. Rzucam się za nim z jakimś starszym szeregowcem. Usiłujemy dopędzić wyrostka, żołnierz odbiegł jednak daleko od swoich, którzy stanęli. Zatrzymuję go i mówię mu, żeby wracał, sam biegnę za bandą łobuzów, która ciągle tłucze szyby, ale jest ich na szczęście coraz mniej. Widzę, jak przez rozbity szybę kiosku ktoś w średnim wieku wkłada rękę po paczkę z cukierkami. Nie wytrzymuję, podbiegam do niego, chwytam za ramię i wrzeszczę wściekły.

– Panie! Jak się pan nie wstydzi? Rabować pan tu przyszedł, zamiast bronić!

Speszony i przestraszony, rzuca paczkę i ucieka. Wpadłem w szal. Obok mnie ktoś z uciekającej bandy wybił szybę wystawową sklepu garmażeryjnego. Ogromna szyba zvaliła mu się na głowę. Brzęk tłuczonego szkła. Ktoś upadł. Chwytam jakiegoś młokosa za ramię, dostaje w twarz z jednej, z drugiej strony – wrzeszczę na cały głos:

– To tak cię draniu w szkole nauczyli. Przecież za to, coś wziął i tu zrobił, twój ojciec czy matka będą musieli odpracować.

Jeszcze jakaś dziewczyna dostała po twarzy. Nieprzytomny ze złości, pobiegłem za kimś jeszcze. Bandy młokosów rozprysły się całkiem, gdy od strony Śródmieścia znowu dogoniły mnie „skoty”.

Cały rozdygotany poczekałem chwilę, aż się ze mną zrówna pierwszy wóz pancerny. Zapiąłem kurtkę, sprawdziłem, czy nie jest porwana, i ruszyłem aleją Wyzwolenia w stronę domu. Przede mną pędziło kilka wozów pancernych, z których żołnierze oddawali co chwilę serię wystrzałów ślepych nabojami. Ulica była zupełnie pusta. Wozy zawróciły do Śródmieścia.

Miałem przed sobą jeszcze ze trzy kilometry drogi wyludnionymi ulicami Niebuszewa. Tramwaje oczywiście nie jeździły.

* * *

Ten jeden z najkrótszych grudniowych dni był dla mnie niewiarygodnie długi. Czternaście godzin wcześniej szedłem tymi samymi ulicami pełen obaw, rozterek, niepokojów i pytań o to, co przyniesie mi ten dzień. Teraz miałem go już za sobą i powinienem wiedzieć, co mi przyniósł. Ale jeszcze nie wiedziałem. Nie byłem w stanie ogarnąć tego ogromu przeżyć, uczuć, obserwacji, zasłyszanych opinii. Dawało o sobie znać całodzienne napięcie i otepiające zmęczenie. Ale jedno było już dla mnie oczywiste: „Z dymem pożarów...”, które dziś widziałem na własne oczy, uleciało przekonanie o niezniszczalnej trwałości i „słuszności” systemu. Uleciał też lęk o przyszłość kraju bez tego systemu. Teraz byłem pewny, że ta przyszłość była w tych tysiącach ludzi obserwujących dzisiaj spokojnie płonące symbole systemu – KOMITET i KOMENDĘ MO. Nikt, poza tymi, co musieli, tych symboli nie ratował, nikt nie wołał o pomoc – tej przyszłości w nich nie było. Dla mnie i dla tych tysięcy, które przeżyły ten dzień, były to już tylko puste, okopcone dymem, obce i obojętne znaki obcego systemu.

PROSIMY O CYTOWANIE TEGO ARTYKUŁU JAKO:

Lucjan Adamczuk, *Szczezińska trauma 1970. Fragment książki Lucjana Adamczuka Autobiografia człowieka wolnego* (Warszawa 2015, mps). Nota redakcyjna Michał Paziewski, „Autobiografia. Literatura. Kultura. Media” 2015, nr 2 (5), s. 95–108.